

Matka zawsze mi powtarzała

Godło: mundo45

PALETA ŻYCIA

Matka zawsze mi powtarzała, że bym był grzecznym chłopcem. Nie byłem. Mając w sobie niszczycielską naturę spychacza i walca, potrafiłem zmiażdżyć, rozjechać, a w konsekwencji zniszczyć wszystko, co znalazło się na mojej drodze. Zacząłem od zabawek; nigdy się nimi nie bawiłem, ale miałem je po to, żeby rozkręcić, oderwać, złamać, roztrzaskać i w końcu wyrzucić. To samo robiłem w dorosłym już życiu: łamałem serca kobietom, odrywałem je od gniazda swoim egoistycznym uczuciem narcyza. Ot, bawiłem się ludźmi jak pionkami na szachownicy własnych pragnień.

Wreszcie przebudziłem się, gdy wsparty na kulejącym krześle trzymałem w rękach paletę z farbami. Sztaluga, na której opierał się każdy mój oddech, stała pokracznie na trzech nogach, drwiąc sobie ze mnie. Byłem Artystą - a raczej - chciałem nim być - tak myślałem zadufany w sobie. Pustka płótna była moją Arktyką - od niej ślepiłem uderzony bielą jej niewinności. To ona wessała mnie nagle jednym cmoknięciem pożądlivych ust. Pędzel, do tej pory zawieszony na sztywnej dłoni, stracił cierpliwość do mojego topornego talentu i do wszechogarniającej pustki wciąż ziejącej z nieistniejącego jeszcze obrazu. Pragnąłem w nim obnażyć swoje dawne grzechy.

-Możesz wszystko! - usłyszałem. - WSZYSTKO! – Uwierzyłem jak dziecko.

Po tych słowach wpadłem w sam środek wariacji chorych urojeń: wariacji nedorzecznej, a nawet niebezpiecznej dla samego siebie. Oto kobieta, ziejąca pustymi oczodołami okien i głową zakończoną spiralną wieżą, posłała mi martwy uśmiech. Jej olbrzymia twarz znajdująca się w centrum tej absurdalnej krainy przywiodła mi na myśl wszystkie kobiety mojego życia; babki, ciotki, kuzynki, koleżanki i szkolne miłostki. Ich żale, pretensje, tęsknoty i pragnienia uwiły sobie gniazdo w tej przedziwnej kobiecej głowie. Miałem ochotę umówić się z nią na spotkanie; z kobietą oczywiście, byłaby przecież ewenementem w moich damskich podbojach. Jednak randka z samą głową pozbawioną kobiecych atrybutów hamowała moje zainteresowanie. Postanowiłem zająć się ludzkim odpowiednikiem dziewczyny; siedziała na schodach, z gracją prezentując swoje wdzięki. Niestety, zakłęta niczym posąg, nie reagowała na moje nieśmiałe zaczepki. Domyślałem się, że miała swojego adoratora; dojrzałem go niedaleko, jak wędkował na olbrzymim patio, zadowolając się czymś, co z grubsza przypominało napompowaną rybę. Jednak nie to przykuło moją uwagę lecz gałka oczna, której źrenica z bystrością kodowała moje ruchy. Nie

rozumiałem zasadności założenia w tym miejscu tak osobliwego monitoringu, ale skoro szaleństwo głowy z zasady jest bezzasadne, przestało mnie to absorbować. Jedną tylko rzecz zajmowała teraz mój umysł - zielone oko w odcieniu mięty. Która z moich miłości miała takie spojrzenie? Pomimo wysiłku, nie potrafiłem wygrzebać z zakamarków pamięci jej imienia. Postanowiłem uciec przed wzrokiem wrogiego mi oka, czując się winnym swojej złej przeszłości.

- Nie dotykaj mnie! Nie dotykaj mnie wzrokiem!- wołałem jak opętany.

Każdy dotyk spojrzenia przypominał mi tę moją dawną kobietę. Ale którą – nadal nie mogłem sobie przypomnieć. Pamiętam jednak, że zaślepiła ją miłość do mnie, a ja rozwalilem jej życie próżnością swojego artystycznego ego. Miała być moją muzą, a była kucharką, sprzątaczką, niańką, kochanką – a nawet przyjacielem. Bolało.

Zdyszany ucieczką szukałem jakiejś ludzkiej przystani w tym wszechświecie płótna, gdzie człowiek okaże się człowiekiem, budowla budowlą, a życie życiem. Na próżno! Drewniany pociąg napędzany wspomnieniami wprawił w ruch kości nogi, a ta połączona ze spiralą zdarzeń nadała barwom kształt krzykliwego jarmarku. Do tego te potwornie nieskoordynowane dźwięki! Były wszędzie! Potrafiły dosłownie wypełnić spod drewnianych kół lokomotywy; z wiatru, który kładł się cieniem na chmurach i z trzepotu skrzydeł zawieszonych na gilotynach. Ten zgiełk, na który składał się pisk, zgrzyt, szelest, szept i ludzkie słowa doprowadzał mnie do granic obłądu.

-Chodź! Uciekniesz ze mną!- Słowa balonu, napełnione radością istnienia, okazały się moim wybawieniem. Olbrzymia piłka pochwyciła moje myśli ku niebu i odtąd mogłem przyjrzeć się wszystkim szczegółom szaleństwa, w środek którego wpadłem wbrew sobie. Cała ta kraina przypominająca starożytne klocki lego, z lotu ptaka wydawała się być harmonią absurdu, gdzie jedna rzecz napędzała drugą, druga niekoniecznie trzecią, ale wszystko tu się jednak wbrew logice kręciło niczym nakręcony przez mistrza zegarów czas. Mijałem więc po drodze monstrualne dłonie kiwające mi na powitanie i skrzydła gotowe do lotu. Kładłem swój cień na schodach będących afirmacją życia. Nagle: bum! W dłoni, którą mijałem, zaklinował się jednopłatowiec. Zobaczyłem w nim twarz pilota i nagle... Ta twarz tak znajoma, łudzaco przypominająca mi... Spojrzeliśmy na siebie w skupieniu. On zdziwiony mną, ja nim. Spotkałem sam siebie... czy raczej...? Nagle zostałem wypluty z wnętrza płótna jak pestka wiśni. Odetchnąłem z ulgą. Swoją antyobraz zacząłem malować od nowa...